

Przedmowa

Wiesław Żyznowski

Bolesław Bawolak odwdzięcza się książką swojej wsi, Świątkowej Wielkiej, za pochodzenie i życie. Rekonstruuje w całości ważny fragment tradycji miejscowości sprzed czasów komunistycznej Polski i nowoczesności, osłabia choć trochę nieodwracalne przerwanie jej łemkowskiej społeczności, kultury i tożsamości. Ogłasza on materiał, który etnografowie uznają za źródłowy, czytelnicy za powód do żalu i tęsknoty, że już nie zobaczą takiego wesela i młodych, Łemkowszczyznę zaś niniejsza praca uczyni krainą jeszcze bardziej mityczną. Po wielkiej utracie i nieszczęściu wsi wzrasta jej małe szczęście dzięki Kochającemu synowi dającemu świadectwo.

Autor z serca, pieczołowicie i drobiazgowo opisuje ceremoniał ślubny i weselny, który w latach 1930–1945 przeprowadzał świątkowian i ich sąsiadów ze stanu bezżennego w małżeństwo i z bardziej beztrudnej młodości w dorosłość pełną obowiązków. Schemat podobny do działających w tamtym czasie w innych regionach Polski, zwłaszcza wschodniej, doprecyzowuje oraz wzbogaca on odmiennymi zwyczajami oraz mnóstwem szczegółów charakterystycznych tylko dla Łemkowszczyzny, jego wsi i okolicy. Wyczerpujący i systematyczny opis w niejednym miejscu ujmie czytelnika „ciepłem dawności”. W Polsce dawność zwyczaju żywego w domach, nieprzerwanego i niepodtrzymywanego przez instytucje czy turystykę, trwała może najdłużej na wsiach łemkowskich, które przeżyły powojenny katakлизм, i tam miłośnicy wciąż jej szukają. Dołączenie Polski do Unii Europejskiej i wzrost

zamożności mieszkańców znacząco przyczyniły się do likwidowania ostatnich ognisk prywatnej dawności w nielicznych ośrodkach lemkowskijszczyzny na rodzimych terenach.

Jeszcze prawdziwszy i bardziej wartościowy mógłby być tylko równie kompleksowy, precyzyjny oraz czuły opis jednego oryginalnego i tradycyjnego wesela, jakie odbyło się we wsi – w latach, o których mówi autor, lub wcześniej – im wcześniej, tym lepiej. Mógłby go stworzyć naoczny obserwator, który by na wydarzenie nie wpłynął swoją innością zauważaną przez uczestników, a miałby odpowiedni po temu warsztat; gdyby tak Stanisław Vincenz zamiast kilku stron w *Barwinkowym wianku* – choć nie widział go osobiście – poświęcił tom weselu potrójnemu dla Polaków, Hucułów i Żydów, które odbyło się 16 października 1887 roku.

Kamienista ziemia, którą prości ludzie uprawiali w dostępnych, ale trudnych do życia górach Beskidu Niskiego, wyznaczała ich konieczności życiowe. Na co dzień tak ich obciążały, że wyglądały na nagie, ale z upływem lat pomału destylowały w piękne obrzędy i rytuały dla przełomów życiowych, w tym weselnego, by te porządkowały życie następujących pokoleń, pomagały ciężkiemu losowi. Także by nadawały odpowiedniej powagi poważnym wydarzeniom życiowym ludzi, którzy pozostawieni sami, niekoniecznie wszyscy umieliby jej dochować. Powagi tak dużej, że podczas uroczystości weselnych osłabianej ciągłą wesołością pochodzącą z figlów i żartów. Ustalone formy pomagały im nie tylko odpowiednio przeżywać najważniejsze momenty

życia, ale i wzmacniały siłę oraz skuteczność ich osobistych reakcji, kiedy te mogłyby się okazać zbyt słabe czy niesmiałe.

Autorowi tylko formalnie chodzi o „piękno tradycji”, przedwojenne wesele w Świątkowej i okolicy, historię wsi, a nawet lemkowskijszczyznę czy przemijanie. Głębiej pokazuje on dobry i piękny ład, który Lemkowie potrafili wprowadzać w swoim życiu. Ten dobry duch nawiedzający ludzi gościł niegdyś w świątkowskich chyzach i świątyniach – prawosławnej, która wybudowana jako czasownia nie zachowała się do dziś, i greckokatolickiej, która nadal stoi i obecnie służy jako rzymskokatolicki kościół. Może gdzieś we wsi pozostały jeszcze nikłe ślady dawnego ładu. Może on jej nigdy nie opuścił, mimo że od początku jej istnienia opuściło ją tyle pokoleń mieszkańców.

Bolesław Bawolak uświadamia lub przypomina nam, co to jest obrzęd traktowany i pielęgnowany jako święty, mimo że nie jest religijny. Obrzęd weselny nakreślony jego piórem nie straciłby wiele ze świętości, powagi i rangi, gdyby odbywał się bez udziału Cerkwi. Można sobie wyobrazić, że nawet by na tym zyskał. Autor nie umniejsza roli Cerkwi czy wagi poświęcenia związku przed Bogiem i sakramentu świętego. Udaje mu się tylko ukazać głębię i powagę tradycji, które obok religijności mieszkańcy jego wsi i okolicy pielęgnowali jeszcze kilka pokoleń wstecz. Przedchrześcijańskość prześwituje przez jego opis częściej, niż o tym wspomina.

Mamy przed oczami studium form przestrzeganych przez zwartą społeczność, które

przerastały znaczeniem i symboliką tych, którzy je warstwowo tworzyli i wprowadzali, a także kultywowali i poddawali się im. Przerastają one również tych, którzy po czasie je opisują i poznają. Utarte przez wiele pokoleń świątkowian formy Bolesław Bawolak przedstawia nam jako nie tylko wyczyszczone z indywidualnego błędu i niedociągnięć. Sekwencja zdarzeń, poszczególne sceny i ich szczegóły rozwijają się w tekście. Danych do scenariusza filmowego byłoby aż nadto. Młodym i najbliższym, którzy by dokładnie przeszli całą procedurę, ktoś musiałby podpowiadać szczegóły, i pewnie pod koniec ślaniałoby się na nogach; w rzeczywistości zapewne często tak bywało. Wesele u Bawolaka nabiera w naszej wyobraźni formatu i wymiaru, które z trudem mieszczą się w fizycznych rozmiarach izb i pomieszczeń chył na Łemkowszczyźnie, które nadal stoją i które znamy. Przestrzenie wypełniane weselami rosły zapewne także w oczach weselników, którzy w nich uczestniczyli. To wszystko tylko wzmacnia w nas tęsknotę do wyidealizowanej aury wsi lemkońskiej w dawniejszym czasie i dzieli na tych, którym jeszcze udało się tego zaznać, i tych, którzy nie mieli takiej szansy.

Im więcej kroków postąpił ceremoniał, tym bardziej stawały się one nieuchronne dla społeczności i ciężiej było odwrócić ich życiowe skutki młodym. Potęgi obrzędu i małżeństwa nie narusza słabość jednostek. Los przyszłych „kojarzonych tradycyjnie” małżonków zawiązuje się najbardziej, kiedy w pierwszy wieczór kilkutygodniowego procesu łączenia

młodych ludzi na całe życie, którzy nie musieli się osobiście znać, rajko (swat) w ramach *wywidyn* idzie się wywiedzieć (w tym „wywidzieć”) o możliwość ślubu do upatrzonych gospodarzy. W imieniu rodziców kawalera wstępnie rozpoznaje on możliwość pozyskania na żonę panny w pierwszym wybranym wcześniej gospodarstwie, a jak to się nie udaje, to jeszcze tego samego wieczoru może iść do następnego. Jeśli tam się powiedzie, młody przed wyjściem rajka mógł w swojej wyobraźni żenić się z jedną panną, a po jego powrocie był już żonaty z inną – i to na dobre. Im małżeństwo stawało się pewniejsze i niezależne od młodych, tym częściej pytano ich, czy aby na pewno są zdecydowani, a oni potwierdzali. Niekiedy role uczestników i konsekwencje ich działań odwracały się względem protokołu, który nazwalibyśmy oficjalnym. Dziewczyna przez całe postępowanie nie mogła odmówić udziału w nim, jeśli chciały tego obie rodziny i inni dorośli. Była oddawana temu i do domu tego, kogo z nią żenią. Mimo to mogła trochę dłużej rozgrywać dobranie się w parę niż młody, dla którego klamka lubiła zapadać już pierwszego wieczoru. Działania cechowała delikatna powściągliwość, przemyślność i wyrachowanie, zaś ich konsekwencje nieodwracalna skuteczność.

Pewien nieżyjący już mężczyzna w 1942 roku w innej galicyjskiej – ale nielemkońskiej – wsi samodzielnie, bez swatów zabiegał o rękę panny Heli (Heleny), która później została moją mamą, zmarłą w 1988 roku. Nie zdobył jej i ożenił się z inną kobietą – w której

obecności jeszcze w 2004 roku obawiał się wspominać o tamtym wydarzeniu. Ciekawe, czy w Świątkowej, kiedy o panny zabiegali pośrednicy, małżonkowie rozmawiali po ślubie, z kim innym mogliby być w małżeństwie. Jeśli już rozmawiano o tym, to pewnie nie wprost, tak jak komunikowano wiele z pytań i odpowiedzi podczas całej procedury ślubnej i czym Łemkowie wyróżniają się po dziś dzień. Któryś z małżonków, chcąc się dowiedzieć od drugiej strony czegoś drażliwego, mógł stosować metodę dyplomatycznego zwiadu z *wywidyn*, podważając wierzchnią warstwę rzeczywistej intencji małżonka tak, by można ją było zostawić nienaruszoną.

Nikt nie mógł pozwolić sobie na błąd niedobrania się majątkowego i gospodarskiego, co obejmowało zasobność materialną i osobistą siłę, zdrowie, pracowitość oraz skłonność do zgodności wykazywane przez kandydatów. Rozwijając temat przysłowiowego żenienia się „pól, a nie młodych”, autor podpowiada nam, że sami młodzi nie żenili się z sobą chyba nigdy, tylko fantomy, które nimi kierowały, zmieniały się zależnie od okoliczności i epoki. Sprawy majątkowe, kiedy to one determinowały śluby, uzgadniano stopniowo, ostrożnie i w miarę odwracalnie, jakkolwiek poszczególne kroki były zdecydowane.

Młodzi poślubiali się ostatecznie jakby dwa razy – podczas zaręczyn w domu i ślubu w cerkwi, który też dzielił się na dwie główne części. Dwoje było młodych, dwa błogosławieństwa rodziców, dwie uczyły weselne, dwa poświęcenia, dwa razy mężczyzna nabywał prawa do

swojej kobiety. Podwójne jest życie każdego człowieka – nawet tego, kto niezdolny czytać i pisać, żyje w ostatniej chałupie pod lasem w przysiółku zapomnianym przez świat, do którego Niemcy nie zajrzeli podczas okupacji. Każdy człowiek jest i prywatny, i społeczny.

W rytuale domowych zaręczyn młodzi poślubiali się niejako sobie wzajemnie, prywatnie, w obecności żyjących najbliższych i nieżyjących przodków, których nieproszone duchy na ten moment wracały do chałup. Zaręczającym się stawały przed oczami zobowiązania życiowe wcześniejszych pokoleń, zawierane w czasach cerkiewnych, przedcerkiewnych, przedchrześcijańskich, przedhistorycznych. Dotykali przemożności momentu, którą odczuwa każdy wchodzący w nowy etap życia, oraz zależności od czasu i położenia bardziej niż od tego, kto akurat stał po drugiej stronie stołu.

W ostatnim piętnastoleciu niezaburzonej łemkowszczyzny zaręczyny miały nadal magiczną moc, tak byśmy chcieli, choć Cerkiew już dawno przejęła niejako ich liturgiczne powtórzenie w przedsionku i właściwe zaślubiny w nawie przed ikonostasem. Ale magia nie ustępowała łatwo wraz ze zbliżaniem się kulminacji obrzędu. Bez prasłowiańskiego wzywania z zaświatów duchów nieżyjących przodków nie byłby możliwy najczulszy spośród jego momentów – i chyba jeden z czulszych spośród wszystkich, jakie znamy. Słowa autora oddadzą go lepiej niż moje:

„Szczególnie rzewny był śpiew dla młodej, która nie miała matki lub ojca. Swaszki opie-

wały niedolę sieroty, w imieniu dziewczyny prowadząc rozmowę z jej zmarłymi rodzicami. Przyśpiewki te wzbudzały żal za zmarłymi rodzicami i wyrażały obawę przed nieznanym losem. Wszystko to razem powodowało, że w takiej chwili większość weselników zaczynała szczerze płakać”.

O rzewnniejsze słowa byłoby trudno:

*Do stilcia sidaty
Mamyczku (nianyczka, rodycił) ne maty
Prychod, mamu, z neba
Bo tia hnes tu treba*
Na ławę siadać,
Mamusi (tatusia, rodziców) nie mieć,
Przychodź, mamu, z nieba,
Bo cię dziś tu trzeba.

Odprawiane przez rodziców przed ślubem cerkiewnym błogosławieństwo młodych to – użyję znów słów autora – „najbardziej uroczysty i podniosły moment w całym obrzędzie weselnym”. To ono ich wysyłało do cerkwi i na odwrotną stronę młodości. Po ślubie, przed opuszczeniem domu przez młodą, już mężatkę, rodzice udzielali parze ponownego błogosławieństwa. Uczestnictwa rodziców lub, jeśli ich zabrakło, opiekunów chyba nie mogło braknąć także w obrzędzie weselnym, kiedy jeszcze obywatel się bez udziału Cerkwi. Na świat boski rodzice zawsze wpierw wypuszczają dzieci, potem mu je stopniowo oddają, zaś Cerkiew w pewnym momencie zaczęła reprezentować go w określonych momentach.

Autor opisuje ślub cerkiewny w rycie prawosławnym – w Świątkowej wprowadzono go w 1927 roku, po przerwie wystarczająco długiej, by był całkowicie zapomniany, a podczas której udzielano ślubów w obrzędku greckokatolickim. Rozwija on opisy obrzędów – jak powinny się odbywać w pełni – na pomieszczenia cerkwi, których wybudowana naprędce czasownia prawosławna prawdopodobnie nie miała. Wszak wiara i religia pozbawione wyobraźni stają się czczym rytuałem, nawet jeśli w czasowni nie wydzielono wszystkich tradycyjnych pomieszczeń, jak na przykład babińca, to uczestnicy nabożeństw, w tym ślubów, mogli je sobie wyobrażać. Biorąc pod uwagę cały obrzęd weselny, przebiegiem zaślubin w cerkwi i uczty weselnej w domu Łemkowie różnili się może najmniej od innych narodowości i grup etnicznych żyjących w obrębie ówczesnej Polski. Jakby w tych najważniejszych formalnie częściach ceremonii chcieli być najpodobniejsi do innych. Mogli być najśpiwniejsi i najweselsi spośród wszystkich, choć jeśli zdolność do tego rośnie wzdłuż łańcuchów górskich ku wschodowi, to Bojkowie i Huculi byłiby jeszcze bardziej tacy. A może byli najradośniejsi spośród wszystkich Rusinów jako zajmujący tereny najbardziej wysunięte na Zachód? O ile się rozeznaje, świątkowski schemat ślubny i weselny przedstawiony przez Bawolaka i tak nie wygląda na podobny do żadnego innego ze względu na mnóstwo lokalnych szczegółów, włącznie z wieloma tekstami i nutami do przyśpiewek, które podaje autor niniejszego opracowania.

Uroczystości w cerkwi jeszcze nie czyniły małżeństwa do końca ważnym – przynajmniej w sferze obyczajowej i symbolicznej. Duże przejście z jednego do drugiego stanu matrymonialnego składało się z ciągu mniejszych przejść, które i symbolizowały, i nieraz wywoływały zmiany, jakim młodzi mieli podlegać, by nabierać po kolei niezbędnych właściwości małżeńskich. Kto się nie ożenił w ten sposób, nie przeszedł w trakcie ceremoniału wszystkich etapów i stanów emocjonalnych – praca zawiera ponad trzydzieści rozdziałów o poszczególnych elementach procesu ślubnego – ten nie nabył od razu cech uznanych za potrzebne do małżeństwa i później miał dużo do nadrobienia. Niektóre ze zwyczajów praktykuje się podczas wesel do dziś, na przykład oczepiny – tylko która młoda czuje się po nich oczepiona? Która przeżywa utratę panieńkości na rzecz zameężności i dorosłości? Przejścia rozmywiają się w świadomości zainteresowanych, tym bardziej obserwatorów, na dłuższe okresy przed i po ceremonii ślubnej i weselnej. Nie wiadomo, kto kim, w jakim stopniu i kiedy przestaje lub zaczyna się czuć. Kiedyś „formacyjnemu” zwyczajowi ślubnemu i weselnemu podlegali bodaj wszyscy, w szczególności na wsiach. Dziś, jeśli zwyczaje te w ogóle przetrwały, są dostępne nielicznym.

Pokładzinami zwano „niemal publiczny akt konsumpcji małżeństwa” pod koniec wesela, w którym młoda pokazywała zachowanie dziewiczości do tego momentu, a młody zdolność do zawładnięcia klejnotem kobiety. Z tekstu

wynika, że zwyczaj zachował się do końca II wojny światowej, w takim razie jego ostatni uczestnicy i świadkowie mogą jeszcze żyć, jakkolwiek słabł od dłuższego czasu, w miarę opanowywania całego procesu ślubnego przez Cerkiew. Z przekazu znanego autorowi, i dzięki niemu nam, dowiadujemy się, że jeszcze wcześniej w Świątkowej pokładziny miały miejsce przed oczepinami jako ostatecznym przejściem młodej w zameężność, a ich przebieg i wynik mógł wywołać zakończenie uroczystości oraz małżeństwa – częściej przez młodego i jego rodzinę, a rzadziej przez stronę młodej. Już się chyba nie dowiemy, kiedy, w której chałupie i kto we wsi jako ostatni sięgał w ten sposób głębiej w przeszłość zakrytą obecnie przed nami nieodwracalnie.

W przedmowie do *Prawdy starowieku* Andrzej Kuśniewicz pisze, że Stanisław Vincenz, który napisał książkę w czwartej dekadzie XX wieku, „złagodził niektóre opisy obrzędów weselnych i ludowych zabaw jako zbyt dzikie i okrutne”¹, to jest sprzeniewierzył się tytułowej prawdzie. Jako miłośnik ginącej na jego oczach huculszczyny, z której zachował jak najwięcej na piśmie w postaci nieśpiesznej, uczonej gawędy, musiał to zrobić ze względu na podejrzenie niewyrobienia kulturowego potencjalnych czytelników. Mądrość, którą przypisywał mu między innymi Czesław Miłosz, zdawał się czerpać z niezakrytych – bo stanowiących pamięć zbiorową – korzeni kultur huculskiej, greckiej

1 A. Kuśniewicz, *Przedmowa*, [w:] S. Vincenz, *Na wysokiej poloninie. Prawda starowieku*, Warszawa 1980.

i innych, w których dzikość i okrutność jako naturalność znaczyły prawdziwość.

Obecnie, powszechnie i potocznie co innego znaczy prawdziwość. Dlatego powrót niedawno przez pewną parę na Pokuciu do ślubnej tradycji huculskiej (piszę te słowa w 2019 roku), o czym możemy się dowiedzieć z Internetu, polegało zapewne tylko na przybraniu starych strojów i niektórych gestów. Ale daj Bóg – może wywołało to na jakiś moment starego ducha Huculów. W Polsce są jeszcze domy łemkowskie, gdzie na specjalne okazje także próbuje się wskrzeszać stare obyczaje. Dzięki pracy i wyobraźni Bolesława Bawolaka możemy zerknąć w niezakrytą część korzenia kultury łemkowskiej.

Autor napisał dzieło na temat wesela w Świątkowej, a nie konkretnych młodych i ich weseliska. Mimo to czytając je, coraz intensywniej dzielimy emocje młodych i ich rodzin uczestniczących w kolejnych etapach ceremonii, jak dzielił je piszący o nich. Mamy do dyspozycji (ogólną) monografię wesela i równoległe opowieść o przeżyciach i emocjach (jakby jednych) uczestników wyobrażonych przez autora. Obrzędowych emocji ślubnych i weselnych autor nie opisał z takim wycuciem, gdyby ich nie dotknął osobiście. Urodził się tylko sześć lat po tym, jak w Świątkowej weselono się ostatni raz na starą modłę. Szczegóły mógł poznać od informatorów, którzy

mieli okazje być naoczni obserwatorami. Zapewne jeszcze w czasie jego dzieciństwa i młodości na niejednym weselu we wsi powtarzano co najmniej niektóre stare formy. Ale oryginalne wzruszenia weselne musiał wyssać z mlekiem matki, otrzymać od ojca. To im dedykował książkę.

Bolesław Bawolak swoją pierwszą wydaną książką, zdaje się, nie przetrzebił wydatnie przepastnego archiwum notatek, które tworzył od młodości, a które zaczęły powstawać jeszcze za sprawą jego ojca Wasyla Bawolaka. Napisać tak kompleksową i szczegółową monografię jednego obrzędu można z własnej pamięci, jeśli jest wybitna i było się wielokrotnym obserwatorem tego, co się opisuje, lub korzystając z bardzo obszernych materiałów, w szczególności jeśli nie tworzone ich w docelowej formie i zbierano w określonym celu. Autor prawdopodobnie jest w stanie opracować podobnie jeszcze niejedną obszar kultury łemkowskiej. Gromadząc i tworząc od dziesiątków lat zbiór unikalnych materiałów źródłowych lub bezpośrednio opartych na źródłach, niczym ich dobrowolny zakładnik sam na siebie ściągnął obowiązek przetworzenia ich w książki takie jak ta lub podobne. Nikt inny nie zrobi tego lepiej niż on, jeśli to w ogóle możliwe, ponieważ nikt nie łączy znajomości tych materiałów z przywiązaniem i miłością do Świątkowej i łemkowszczyzny.